



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych
 cenie rocznie r. 7 kop. 20; półrocznie r. 3 kop. 60;
 kwartalnie r. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Krolestwie:

kwartalnie r. 2 kop. 50; półrocznie r. 5, rocznie r. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta
 kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 8.0
 W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na pro-
 wincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.
 W W. Ks. Poznańskiem: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek.

FELICYA Z WASILEWSKICH BOBERSKA.

Szlachetna, w wysokim znaczeniu tego wyrazu uczciwa kobieta, Felicya z Wasilewskich Boberska, zmarła d. 15 Stycznia w Galicyi, we wsi Rudenko pod Złoczowem, a jest to zgon, który można nazwać stratą dla ogółu, bo zmarła przedstawiała doskonały typ wzorowej kobiety naszej według tych pojęć rodzinnych, tradycyjnie przechowywanych, które stały się u nas modłą w sądzie o kobietach—w przedstawieniu sobie ideału kobiecości zacnej. Trzeba na to enót rodzinnych u ogniska domowego, trzeba szaty, jak u westalki, niesplamionej, ale trzeba zarazem pewnej podniosłości ducha, uczuć i myśli, któreby nie układały się poziomo. Zmarła w ten sposób, właśnie typowo nasz, zarobiła sobie na wyższe stanowisko i uznanie wśród powszechności swojej. Nie posiadając żadnego szczególnego obdarowania, żadnego talentu, któryby rozgłos dawał i drogę życia rozszerzał, samą siłą enót i prac w zakresie zwykłego istnienia kobiety—w zakresie życia rodzinnego i nauczycielstwa—stała się osobistością wybitną i wpływową, działającą na arenie użyteczności publicznej.

Danem jej zostało wprawdzie to szczęście wielkie, że się urodziła w rodzinie uczciwej, wśród otoczenia dobrych ludzi, wśród wpływów podnoszących serce i umysł. Ojciec jej, Tadeusz Chochlik Wasilewski, marszałek koronny i deputat Stanów Galicyjskich, był wysoko szanowanym i wysoko znacnym człowiekiem, nietylko spełniającym sumiennie wszystkie swe urzędy i obowiązki obywatelskie, ale torującym do tego drogę innym. On pierwszy, bo w 1840 r., pod-

niósł głos wśród sejmu stanowego za zniesieniem pańszczyzny i uwłaszczeniem włościan; on również był promotorem zaprowadzenia w prowincyi swojej *Towarzystwa Ziemińskiego Kredytowego*. Z jego ini-



Felicya z Wasilewskich Boberska.

cyatywy powstało galicyjskie *Towarzystwo Rolnicze i Kassa Oszczędności*, będąca dziś w Galicyi potęgą finansową, która ma w obrocie krocie tysięcy, a na którą on złożył 1.000 zł. reńsk., do-

brawszy sobie jako współników dziewięciu ziemian dobrej woli, składających na ten cel użytku ogólnego taką samą sumę. Nie stracili na tem przedsięwzięciu, a wszystkie te stowarzyszenia ekonomiczne, poruszające martwe kapitały grosza i myśli, chroniły od zastoju życie, ciekące leniwie wśród zamykającej się w sobie prywaty; ale nie na tem jeszcze ograniczały się zasługi szlachetnego człowieka.

Życie towarzyskie ma swoje znaczenie społeczne. Przyczynia się niemało do podniesienia umysłowości, do wyrabiania się przekonań, wynikających ze starcia zdań i dom marszałka koronnego był we Lwowie za czasów owych miejscem gromadzenia się inteligencji—miejscem gromadzenia się wszystkich ludzi czystych dusz i czystych rąk. Bywał tam Bielowski, Pol, Szajnocha, Agenor Gołuchowski, książę Leon Sapieha, Alexander Fredro, Dzierzkowski Józef, Dobrzański Jan, Wacław Zaleski—bywała i szlachta przybywająca do miasta i wynosząca z wieczornych przyjęć marszałka myśl rozświeconą, pojęcie obowiązków wyższe; a musiało to oddziaływać podobnie i na członków rodziny, na rosnące wśród takiego otoczenia dziewczę, które nie przedąc przy tem lnu, jak Aldona, słuchało przecież taksamo, jak tamta, co mówili ludzie starsi, i kształciło sobie wśród tych wpływów umysł, podnosiło się sercem.

Żadna akademia nie byłaby mogła przygotować jej wyżej do praktycznych celów i obowiązków życia. Ale tak płynęły tylko zimy; na lato rodzina powracała na wieś, a tu była znowu szkoła inna, nie nie niższa od tamtej. Ojciec był uczniwym włości swoich panem, a trzeba dodać, że fortuna była magnacka. Oprócz rodzinnego majątku Książę pod Złoczowem, stał się Wasilewski przez sukcesyją po wuju, Janie Uruskim, panem wielkich dóbr Juśkowice, także w okolicy Złoczowa, i przebywano tam miesiące letnie, zamieszkując wspaniały pałac, otoczony starym, pię-

knym ogrodem. Nastrój myśli i uczuć rodziców był szlachetnie podniosły; dlatego dzieci nie chowały się na panięta, na lalki salonowe; córka, najstarsza w rodzinie—przyszła na świat 21 Czerwca 1825 r.—była wcześniej pomocą matce w wychowywaniu licznego, a ztąd względem niej znacznie młodszego, rodzeństwa. Matka, Antonina, z domu Radwańska, była kobietą dobrego, kochającego serca, na staropolski sposób gospodarną; więc przy tak otwartym domu wiele zajęta, córka też bardzo wcześniej, bo dzieckiem prawie, już pomocnicą jej się stawała, przyczem zaczęło kielkować w młodej piersi dziewczęcia to, co potem stało się powołaniem życia kobiety.

Zacząła uczyć. W formie zawsze najmilszej dzieciom zabawy: opowiadania bajek, uczyła je historii, uczyła śpiewów Niemcewicz, a dodać należy, że własne jej wykształcenie naukowe było, jak na edukację kobiety w owych czasach, niepospolicie wysokie. Kierował nim sam ojciec, lekcyce dawali najlepsi we Lwowie nauczyciele, a oprócz tego już dorosła panna uczyć się nie przedstawiała, słuchając od nauczycieli braci wykładów historii, filozofii. Obok tego czytała. Wychodziły wtedy właśnie we Lwowie dzieła Hoffmanowej, dzieła Mickiewicza, i ona brała to nietylko do umysłu, lecz do serca. Już w jesieni życia, bo 1871 r., mając we Lwowie odczyt o Hoffmanowej, wyznała jakim był wpływ tej autorki na nią—na nią i na kilka pokoleń kobiet, które wyrastały kształtując się moralnie na wzór, który podawała im ta szlachetna mistrzyni cnoty rodzinnej:— „Jeżeli wychowanie nasze nie było lekkomyślne, powierzchowne, cudzoziemskie; jeżeli uczono nas żyć dla powinności i prawdy; jeżeli pokochałyśmy wszystko, co dobre i szlachetne, zapragnęły światła i wiedzy; w znacznej części zawdzięczamy to Hoffmanowej.“

Setki kobiet mogą to powtórzyć o niej znowu, bo tak, jak Hoffmanowa, z miłości dla społeczeństwa rozmiłowała się w nauczycielstwie i uczyniła sobie z niego zadanie życia. W 1847 r., więc mając dwadzieścia parę lat, zaczęła już nauczać. Urządziła w domu rodziców bezpłatne kursa historii i literatury dla panien dorosłych; w następnym 1848 r., podobne wykłady miewała w prywatnym sobie domu dla dziewcząt młodszych, lecz nie był to czas dla prac spokojnych. Wielkie wstrząśnienia polityczne zatrzęsły całą Europą. Szlachetny jej ojciec, złamany na duszy i ciele, porzucił miasto; groziła też i ruina majątkowa, bo szafował groszem bez rachunku, bez względu na siebie i rodzinę—szafował wspaniałomyślnie pełną dłoń, a teraz oto ujrzał na dniu kielicha życiowego gorzkie męty, które zatrwały mu dni ostatnie.

Umarł w 1850 roku. Na barki wdowy spadł teraz ciężar cały, lecz mężna, poświęcona córka stanęła jej do pomocy. Wzięła na siebie wykształcenie młodszego rodzeństwa, i więcej nad to. Trzeba było zarabiać, aby rodzina tak liczna mogła żyć, aby się nie rozproszyła po świecie, zdana na łaskę doli i niedoli. I snadź duch jej mistrzyni ukochanej przemówił do niej, zawołał na nią:— „Oto jest ciężar! lecz ty masz ramiona.“ i oto w 1852 r. przenosi się z matką do Lwowa, otwiera zakład wychowawczy, zrazu prywatny i na małą skalę; następnie staje się z tego szkoła publiczna, do której uczennice garną się tłumnie, a ją otacza teraz uznanie najwyższe, cześć prawie. Uczy, wyucza—kochana, wielbiona przez rzesze młode, zdaje się być całą oddana pracy, a przecież w sercu jej jest rana głęboka, jest ból ciężki—teśknota za drogim człowiekiem, którego obrączkę nosi na palcu. Rozdzielili ich wypadki. Narzeczony jej, Aloizy Boberski, został przez władzę austriacką zamknięty w Kufsteinie, a choć w lat kilka wypuszczono go na wolność, nie dozwolonem mu było przebywać w granicach państwa austriackiego, i wyjechał do Anglii,—a ona biedna ma matkę sędziwą i nie może, nie powinna jej odstępować!

Były przecież dzieci imie, byli synowie; ale jej szlachetna natura nie targuje się z obowiązkiem, nie rozkłada go na części: które prawnie na niej ciężać mają. Przysięgała kochała matkę

gorąco i rozdział był już rzeczą niepodobną, tak, jak niepodobną było puszczać się z nią na losy niepewne, wywozić sędziwą na obczyznę. Więc zostaje i pracuje, pogodna, czynna, przedstawiająca ludziom najpiękniejszy wzór szlachetnego godzenia się z losem, i tak jest rok za rokiem, przez lat dwanaście. W 1864 roku zakład jej zwijają, ona z matką i młodszą siostrą, którą też miała zawsze przy sobie, wyjeżdża na wieś, by zamieszkać przy bracie Tadeuszu, jak ojciec, osiadł w stronach rodzinnych, w Złoczowskiem; ale za czynną jest, za żywą w uczuciach i myślach, aby leniwie złożyć ręce. I tu ma kogo uczyć, bo ma działkę wiejską, a dar posiadany przywiązywania do siebie ludzi nie traci swojej mocy; działa tak wśród ciemnych i prostych, jak gdzieindziej wśród oświeconych i rozumnych i nietylko też dzieci kochają ją gorąco, garną się doniej, uszlachetniają się sercem i umysłem pod jej wpływem. Wielka słodycz charakteru, wielka dobroć jej serca była tu talizmanem, którego siła nie przestała działać aż do śmierci i która może była tajemnicą, że nieszarpiąc się z losem, nie uważając szczęścia za jakieś należne jej prawo nie zatrąla się goryczą cierpką wśród prób losu ciężkich. Obok nauczycielstwa maluczkie zaczyna pracować na polu literackim, studjuje piśmiennictwo, i owocem tych czasów jest „Historia literatury polskiej“, której tom jeden wyszedł we Lwowie w wydaniu Wilda.

Drugi, zapowiedziany, nie ukazał się nigdy, bo wypadek bolesny, śmierć matki, przerywa jej studia i wytrąca pióro z ręki. Cierpiała tak, że się lękano o jej życie, w którym zdawało się zbrakło jej już nagłego celu, lecz na szczęście w tym samym roku otrzymuje pozwolenie rządowe otworzenia znowu we Lwowie szkoły, a nawet jest do tego wzwana i wobec tego wraca jej dawna siła a elastyczność tej natury zadziwiała, ale źródłem była żywość uczucia. Upadająca pod brzemieniem, była zdolną podnieść się nagle, gdy ukazał jej się cel, dla którego zabiło serce.

Jeszcze w 1862 roku rozpoczęła wykładać u siebie w domu estetykę i literaturę dla kobiet. Kursa te gromadziły liczne słuchaczki; za powrotem jej do Lwowa za otworzeniem szkoły, znów się to ponowiło, i odtąd co lat kilka urządzała takie kursa tych przedmiotów, zawsze mające dość słuchaczek, a przytem miewała z zakresu literatury, estetyki i pedagogii odczyty publiczne w sali ratuszowej, zawsze też pełnej wtedy, bo kobiety szczególnie miały dla niej niemal uwielbienie i było prawie wstydem, dla tych, co chciały liczyć się do rozumnych i szlachetnych, aby nie składać jej czci należnej.

Utrzymuje się przekonanie, bardzo błędne, jakoby kobiety nie oddawały drugim kobietom uznania dostatecznego. Nie! tak nie jest i dość wspomnieć Hoffmanową, Żmichowską, która była w swoim czasie iście królową wśród inteligentnych i zdolnych ją odczuwać, a teraz dodać ją, która posiadała podobnie wśród prowincji swojej jakoby królowanie nad państwem niewieścim. Tylko potrzeba na to takiej właśnie zasługi i takich zasadniczych cnot kobiecości, jakie miały wszystkie te trzy szlachetne niewiasty: życia, które godziłyby się z ideałem naszym dostojności kobiecej.

Ona posiadała to w całości, więc ceniona, szanowana przez wszystkich: przez kobiety i mężczyzn, miała przynajmniej jesień życia piękną i szczęśliwą, bo spotkała ją i ta wielka łaska losu, może też od nas samych w części zależna, że miłość, z którą zaręczyło serce w młodości, dotrzymała jej wiernie obietnic swoich pod zachód życia. W roku 1873 Aloizy Boberski wrócił do kraju i rozłączył lat tyle podali sobie ręce, aby ta skłonność serc, która teraz stawała się przyjaźnią, na wzajemny: szacunek opartą, opromieniła im ciepłym blaskiem swoim schyłek życia. Umiała wszystko wybierać dobrze i wzięła też pod wszelkim względem ewangeliczną część dobra.

U końca życia poniosła stratę ciężką. Mąż wcześniej odszedł na spoczynek wiekuiście i samotną znowu była u końca istnienia, które, jak najczystszy promień słońca, od poranku do wieczora swojego świeciło ludziom i grzało ludzi. Wszyst-

kie serca ludzi uczciwych powinny złożyć u tego grobu kwiat czci i głębokiego szacunku.

M. Ilnicka.

POGA WĘDKA.

Ponad wszystkim, co opinią Europy w ostatnich dniach zajmować mogło, górowała sensacyjna wiadomość o samobójstwie austriackiego następcy tronu. Ten strzał z rewolweru, nie usłyszący przez nikogo w myśliwskim zameczku Mayerling pod Badenem, rozległ się jednak donośnym echem po całym cywilizowanym świecie.

Arc. Rudolf, człowiek młody, inteligentny, z pewnemi nawet pretensjami do uczoności, dziedzic tronu i korony, stojący na najwyższym szczeblu hierarchii państwowej po swoim ojcu, otoczony sympatją i nadziejami swych ludów, przecina najniespodzianie tę złotą nić swego żywota, jak każdy najzwyczajniejszy śmiertelnik, przygnieciony troskami i ciężarami swej exystencji.

Nie chcę się zastanawiać nad politycznym znaczeniem tego wypadku; ma on bowiem więcej cech ogólnoludzkich i budzi większe współczucie, jako nieszczeście osobiste i rodzinne, aniżeli jako fakt dynastycznej i politycznej na przyszłość doniosłości.

Człowiek trzydziestoletni za ledwie, popełnia samobójstwo z przyczyn dotąd zagadkowych i nierozjaśnionych, pozostawiając młodziutką żonę wdową, pięcioletnią córeczkę sierotą, dostojnych a kochających go gorąco rodziców pogrążonych w rozpacz. Dość w tem wstrząsającej do głębi tragiczności, którą potęgują jeszcze bardziej względy i okoliczności historycznego znaczenia.

Kiedy przed kilkoma laty nieboszczyk zaślubił królowę belgijską, Stefanję, przypominało wówczas tradycyjne: *Tu felix, Austria, nube!*... radośnemi okrzykami na cześć tego małżeństwa rozbrzmiewały dwie stolice nad Dunajem, cała monarchia składała życzenia młodej parze i radośnie witała nowożeńców, życząc im jak najświetniejszych losów i obiecując sobie wiele z tego szczęścia i pożytku.

Dzisiaj w najgrubszej żałobie pozostała młoda wdowa u trumny męża i ojca swej jedynaczki, złamana nieszczęściem, które na nią spadło nagle, jak brzemień; los przedarł tę świetną kartę, za ledwie rozpoczętą, jej małżeńskiego żywota, pięknych i szczytnych na przyszłość nadziei, widowków, zamysłów, marzeń i rozwiął to wszystko odrazu.

Jakże chwiejną jest podstawa ludzkiego szczęścia na wszelkich poziomach naszego bytu, nisko i wysoko, w mrokach i blaskach życia, jakże znikomą i niepewną!...

O powodach samobójstwa Arc. Rudolfa krążyć zaczęły rozmaite pogłoski, domysły, przypuszczenia; świat przy podobnych okazyjach lubi mówić dużo i nie bardzo się liczyć ze słowami i logiką; cóż dopiero, gdy mu się nadarzy taka wyjątkowa sposobność!

Urzędownie zrobiono swoje, zrobiono nawet więcej, niż spodziewać się było wolno, gdyż wyjawiono smutną prawdę bez obsłonek, chociaż w pierwszej chwili śmierć cesarzowicza próbowano przedstawić, jako wypadek całkiem naturalny, spowodowany aneurysmem serca.

Na przedstawienia swoich dwóch najwyższych ministrów, Cesarz Franciszek Józef postanowił szczerze i otwarcie podzielić się ze swemi ludami całą bolesną prawdą, wiedząc, że ona tylko tem głębsze i szersze obudzi w nich współczucie.

Szczegół to wymownie charakteryzujący stosunek monarchy do swoich poddanych.

Oslabione zdrowie i melancholia, której ślady miało zauważyć w ostatnich paru tygodniach otoczenie najbliższe arcyksięcia stały się powodem targnięcia na życie: tak głosi wiedeński organ urzędowy i na tem każe poprzestać.

Reszta, jeżeli jest jaka, należy tylko do rodziny...

Wbrew mojemu zwyczajowi, nekrologią rozpocząłem, zamiast kończyć dzisiejszą gawędę; same fakta nasunęły mi taki smutny początek. Zza Oceanu oto spadła nagle wiadomość o śmierci Ignacego Domejki, który w Październiku wyjechał z Warszawy z żoną i rzeźki pomimo swoich osmdziesięciu sześciu latach wieku, przyrzekając przy pożegnaniu, że powróci „żywy czy umarły;“ zdawało się, że ów sędziwy starzec, którego jednak coś odmładzało zawsze w naszych oczach, dotrzyma słowa i pomimo tylu niebezpieczeństw i trudów tak nieszcześliwej podróży na drugą półkulę świata—powróci choćby za lat kilka.

Ta „młodość-rzeźbiarka, co wykuwa żywot cały“ dziwnie-bo hartowała materiały, z którego pokolenie Domejki utworzone było fizycznie i moralnie; nie starzała się dusza w ludziach, jak Odyńca i Domejko, ostatni z jego rówieśników i towarzyszy studiów uniwersyteckich owej epoki promienistych uczuć, promienistych myśli, promienistych celów życia.

Pod wieloma względami owi starcy nad grobem stojący młodszy byli żywotnością, sercem i wrażeń, i poglądów od wielu prawników, których wiosna życia tak dziwnie podobną jest do jesieni.

Najcelniejszy uczeń Jędrzeja Śniadeckiego w Wilnie, po ukończeniu uniwersytetu w kraju, wyjechał dla dalszego wykształcenia za granicę i w Paryżu prowadził jeszcze przez lat kilka specjalne studia, jako chemik i geolog. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności dostał się następnie do Chili i tam przez lat pięćdziesiąt na obcym gruncie, cudzoziemiec, pracował nad rozszerzeniem oświaty, wykształcenia kilku pokoleń i podniesieniem dobrobytu w kraju.

W Coquimbo założył fachową szkołę i laboratorya dla chemików i mineralogów, w Kordyliery odbywał naukowe wycieczki i zdawał z nich sprawozdania, które zajmowały się najpoważniejsze instytucje; w Santjago przewodniczył długich lat całe dziesiątki, jako rektor akademii, z której wyszła prawie cała dzisiejsza inteligencja Rzeczypospolitej Chilijskiej, napisał wiele dzieł naukowych pohiszpańsku, które mu zjednały rozgłos i uznanie wśród uczonych.

Rzeczpospolita, w ocenie jego pracy około krzewienia oświaty, i zasług położonych na polu wychowawczem, wybiła złoty medal na cześć tak znakomitego obywatela; ofiarowano mu oprócz emerytury znaczną pensją dożywotnią, a syna jego kształcono kosztem państwowym w Europie pod warunkiem, aby po ojcu zajął uniwersytecką katedrę.

W tym właśnie celu, wywiązując się Chilijczykom z danego na wyjeźdnym przyrzeczenia, Domejko wyjechał do Santjago w roku zeszłym, ażeby swego następcę instalować na tak zaszczytnym stanowisku; tam zresztą znalazł rodzinę drugą, tam się ożenił i dzieci kilkorga się dochował.

Gdyby nie fatalne warunki podróży, która go za nadto zmęczyła i z sił wyczerpała, byłby może w zdrowiu i dobrym stanie dojechał aż na miejsce. i wypocząwszy, uregulował swą sprawę rodzinną, powróciłby do nas, ażeby złożyć kości w rodzinnej ziemi, jak to sobie obiecywał. Stało się jednak inaczej; śmierć go zaskoczyła na obczyźnie, tam, gdzie większą część życia spędził, gdzie tyle zasług położyl, gdzie zdobył imię i rozgłos najcelniejszego obywatela Rzeczypospolitej Chilijskiej, która mu pomnik zapewne postawi na grobie i przekaże wdzięczną pamięć dalekiej potomości.

Dla nas Domejko był wcieleniem ostatnich wspomnień epoki Mickiewicza którego był serdecznym przyjacielem, jak również i Odyńca, i Garczyńskiego, i Zaleskiego i wielu innych. Wiązało go z nimi to jakieś pokrewieństwo uczuć i myśli, które zacieśnia bardziej pewne grona wyborowych ludzi, niż więzy rodzinne.

Miał słuszność Bohdan Zaleski, kiedy w wierszu do Domejki, napisanym przed wielu laty, powiedział: „Zaprawdę, nigdy my nie będziemy starzy, dopokąd pijem z onej żywej wody, odmładzającej ludzi i narody, bo: miłowaliśmy i wierzyliśmy w pełni, i spodziewaliśmy się łask przez wiek cały i pobrzmiwali ku Panu w chorały... Jęney my śmierci, ale nieśmiertelni! Odnajdziemy się przy Odkupicielu, i odnajdziemy swoich wielu, wielu.“

Dzisiaj odnaleźli się już wszyscy w krainie duchów, wszyscy owi z „Adamowej daty,“ którym „miłość i boleść“ torowały drogę ku niebu i ku wieczności.

W literaturze polskiej pozostały również ślady Domejkowego pióra, a zwłaszcza bardzo ważny pod względem historycznym i informacyjnym dokument w formie „listu o filaretach i filomatach,“ których dzieje autor, jako naoczny wszystkiego świadek i uczestnik tego kółka, spisał przed laty kilkunastu.

Od tych smutnych tematów i rozpamiętywań, które nam śmierć poddyktowała, przejdźmy do kwestyi z życiem bliższy związek mających.

Oto biorę do ręki prospekt „Wszecłswiata,“ który z dniem 1-ym Stycznia rozpoczął ósmy rok swego istnienia; gdyby to była zwyczajna zapowiedź wydawnicza, nie wspomniałbym może o niej dzisiaj, jako o rzeczy trochę spóźnionej, ale treść tego prospektu i względy na pismo, które go wydało, przedstawiają temat godny uwagi. *Wszecłswiat* jest jedynym organem naszej prasy, poświęconym rozpowszechnieniu u nas nauk przyrodniczych wśród warstw średnio ukształconej publiczności; redagowany jest sumiennie, starannie, zajmująco, ze szczególnem uwzględnieniem rzeczy krajowych.

Zdawałoby się, że takie pismo powinno znaleźć przynajmniej tylu prenumeratorów, ilu mu koniecznie potrzeba do pokrycia kosztów wydawnictwa; gdzie tam!... Redakcyja walczyć musi nieustannie z troską o jutro. Potrzeba wielkiego zamięłowania dla nauki, wielkiego poczucia obowiązku względem jej rozpowszechniania w sposób najprzystępniejszy, wielkiej wiary w działanie tej kropli, która kamień przewierca, aby się nie zniechęcić, trąk nie opuścić i tego „jedynego organu popularnej nauki“ nie opuścić, walcząc daremnie z obojętnością społeczeństwa.

Co prawda, komitet redakcyjny składają ludzie wzorowi, doświadczeni, zahartowani przeciwnościami i zamięłowani w swoich zawodach.

Smutne to wszelako nad wyraz, co czytamy w prospekcie *Wszecłswiata*, który z niezwykłą szczerością i otwartością prosi się wszelako w imię nauki, oświaty, dobra powszechnego o poparcie czytelników; a jeszcze smutniej przedstawiają się dzieje drugiego wydawnictwa, które mogłoby zaszczyt prawdziwy przynosić naszej naukowości, gdyby sprawiedliwiej było oceniane przez poważniejszą część ogółu i popierane tak, jak na to zasługuje.

Zauję niewymownie, że nie mogę powtórzyć tutaj dosłownie całej odezwy, którą redakcyja *Pamiętnika fizyograficznego* zamieściła przy prospekcie *Wszecłswiata*.

Są tam ustępy, przy których odczytywaniu robi się intelligentnemu człowiekowi dziwnie smutno na duszy i rumieniec wstydu za ogół występuje na lica.

„Dość nam zaznaczyć i podkreślić, że według naszego mniemania, gdybysmy tylko *chcieli* szczerze, to *mielibysmy* u siebie swoją własną domową naukę“, —powiada redakcyja *Pamiętnika*, którego głównym celem jest zbadanie przyrody własnego kraju. „Moglibysmy“ —ale „nie chcemy.“ Te wyrazy w historii oświaty ogólnoludzkiej i europejskiej jaskrawymi głóskami potępienia na nasz wstyd zapisane zostaną. Posłuchajcie dalej, jak brzmi ta skarga ludzi poważnej nauki: „Współpracownikom *Pamiętnika fizyograficznego* przypadło w udziale przepaść pomiędzy dobrmi chęćiami, a ich wykonaniem, zapełnić swym dorobkiem, gdy tymczasem nad brzegiem naród z założonemi rękoma patrzy obojętnie na wysiłki. Stoimy przed wami już od lat ośmiu i zachęcamy i prosimy: spróbujcie tylko —może wam się rzecz nasza podoba. I co roku, przy każdym nowym tomie *Pamiętnika* ubywa nam środków i wiary w powodzenie, a za to przybywa gorczy w sercu. Trzeba tak silnie być przekonany o swojej słuszności, jak my jesteśmy, trzeba tak mocno kochać swoją sprawę, jak my kochamy, żeby nie wyrzec się niewdzięcznej, a trudnej roli i głosu wołającego na puszczy! To nie jest samochwalstwo, ani przesada. Najpierw sami współpracownicy, z własnej inicjatywy i własnymi środkami zbierają naukowy ma-

teriał, robią wycieczki, przeprowadzają żmudne badania z uszczerbkiem czasu od zajęć zyskowniejszych i przygotowują prace, za które żadnego wyragrodzenia nie biorą. Same honorarya darowane wydawnictwu przez autorów wyniosłyby ofiarę przeszło 10.000 rs. I tę ofiarę składają ludzie ciężkiej pracy, po większej części niezamożni—dla czyjego dobra?... dla dobra kraju i swoich współobywateli, ziemian, przemysłowców, kupców it. p., którzy w przyszłości z ich badań, wskazówek i teoretycznych rad mogą osiągać praktyczne, materialne korzyści.

Dalej wydawcy przy pomocy hojnych jednostek, rozumiejących znaczenie i pożytek takiego dzieła, w ciągu lat ośmiu dołożyli przeszło 15.000 rs. na pokrycie niedoborów wydawnictwa.

I pomimo tego wszystkiego, pomimo apatyi, pomimo wszelkich przeciwności, zawodów i strat, zdolano jakimś cudem wydać w owych ośmiu tomach *Pamiętnika* około 200 rozpraw naukowych z dziedziny meteorologii, hydrografii, geologii, chemii, botaniki, zoologii, antropologii i t. d., za drukować poważnemi pracami przeszło 300 arkuszy z dodatkiem paruset tablic rysunkowych, dać inicjatywę do zakładania stacyi meteorologicznych, urządzania wycieczek naukowych i przeprowadzania spostrzeżeń rozmaitych.

„Ludzie dobrej woli—woła redakcyja—do was raz jeszcze zwracamy się z prośbą. Pomóżcie nam przekonać ogół o racyi naszego istnienia. Wszakże każdy w najbliższym swem kółku znajdzie kogoś, dla kogo sprawa badania kraju nie będzie obojętną i kogo drobny wydatek na przedpłatę *Pamiętnika* nie doprowadzi do ruiny...“ „Nie dla książki—jej czytać nie będziecie, ją zostawicie na półkach szafy, aż dopóki do jej czytania nie dorosną wasi synowie, lub wnucy—ale dla poparcia celów mniemanego towarzystwa fizyograficznego, (które *Pamiętnik* niejako zastępuje) złóście przedpłatę.“

A wiecie też, oile to chodzi, jak wielkiej summy wymaga się od was rocznie, jako ofiarę na tym książkowym ołtarzu nauki?... marnych pięciu rubli potrzeba tylko na rok w drodze prenumeracyjnej.

Przecież to wstyd, aby aż takim błagalnym głosem przemawiać musiała nauka do ogółu, dopraszając się od niego poparcia swoich celów, do tego samego ogółu, który tak często tyle pieniędzy wydaje na swoje ogłupianie, albo marnuje bezmyślnie dla chwilowej przyjemności.

Niestety, gdyby ta nauka była baletnicą, śpiewaczką, a choćby hecarcją cyrkową, potrzebowałyby się tylko uśmiechnąć, albo wydekoltować i rzepadałyby za nią.

Zamało ma warunków do... lekkiej reklamy, bo jest za poważną dla tłumu, a reklama dzisiaj to wszecławadna czarodziejka i najsprytniejsza organizatorka wszelakich sukcesów, która nawet groby i cienie nieboszczyków wzięła u nas ostatnimi czasy w entrepryzę.

Musieliście słyszeć o tem?., z powodu zamierzonego wydawnictwa zbiorowych dzieł K. Wł. Wójcickiego na korzyść pozostałej rodziny (dotąd rzecz nader chwalebna), p. wydawca, właściciel drukarni dawniejszej Bergera, do „Cmentarza Powązkowskiego“ postanowił dodać uzupełnienie, (tu się zaczyna reklama), a mianowicie rodzaj słownika nieboszczyków, pochowanych na Powązkach, których nawet portrety i pomniki przy treściovych życiorysach za opłatą pomieszczać mogą pozostali krewni.

W przyszłym roku wyjść ma znowuż taki Skorowidz biograficzny żywych, choćby najzwyczajniejszych śmiertelników, którzy zechcą światu przekazać swoje nazwisko, daty urodzenia i ważniejsze momenta prywatnej swej działalności w rozmaitych zawodach.

Jeden ze starszych literatów przygotowuje rodzaj Encyklopedyi przemysłowej z ilustracyami, w której wszystkie firmy gorzelników, browarników, fabrykantów, kupców etc. etc. opisane będą piórem... pozłożonem przez interesowanych.

Amerykanizuje się Warszawa coraz więcej, *humbug* i *business* wciskają się gwałtemwe wszystko, reklama panoszy się i, nie mogąc znaleźć miejsca na kurtynach teatralnych, próbuje usadowić się teraz na kozłach dorozkarskich w postaci

malowanych i drukowanych tablic z ogłoszeniami.

Ale i amerykański *humbug* ma swoje granice; przekonała się o tym Miss Nikita, „czarodziejka Niagary“, która przyjechała do Warszawy poprzedzona trąbą reklamy, sięgającą przez cały Ocean. Mamy szczęście do zaatlantycznych primadon; jeszcze nie skończyła p. Russel drugiego tuzina swych występów w Operze, już zaszczyliła nas swymi odwiedzinami na estradzie koncertowej jej rodaczka, która z „cudownego dziecka“ jest teraz „cudownym podlotkiem“ a wyróżnie niebawem w „cudowną dziewczynę.“ Wszystko to być może; im więcej tego dziewictwa jakoś przybywa, tem bardziej widocznie się owa zachwalana cudowność ulatnia, bo Miss Nikita okazała się zwyczajną śpiewaczką, gorszą od naszych domorosłych primadon, które, niestety, dla swojej reklamy nigdy nie były porywane przez nikogo, jak „czarodziejka Niagary“ przez Indyan, nie spędziły pięciu lat życia w dziewiczych lasach przed wstąpieniem na scenę i nie znajdowały się w romantycznym niebezpieczeństwie, jak p. Nikita, przez którą dwaj Indyanie na śmierć się zasiekali.

Trzeba mieć szczęście do wszystkiego, nawet do przygód sensacyjnych, rzeczywiście czy zmyślonych, ale w każdym razie praktycznych później w rękach sprytnego impresaryja.

Trudno-bo też byłoby w tym czasie zwrócić na siebie uwagę bez dużej reklamy w Warszawie, która rozpoczęła drugi miesiąc karnawału i oprócz Lewandowskiego muzyki niczego nie słucha z większym przejęciem. Baluje się jednak zawsze jeszcze w miarę, bez szaleństw, bez tego „kręcka“, który dawnych lat zwracał głowy aż do upadłego; zapowiadają wszelako, że druga połowa zapust będzie bardziej ożywną i hulaszczą. Być może, bo karnawał tem się właśnie różni od baka, iż wiruje z wrastającą szybkością i upada w chwili najszańszszego piruetu na jednej nóżce.

Pomimo zapustego rozgardyaszu nie wszyscy oddają się uciechom marnym i przemijającym chwili bieżącej; są tacy, co pracują poważniej. Oto np. sekcje pojedyncze Towarzystwa popierania przemysłu i handlu dają przykład wzorowej działalności, zbierają się na narady i obrabiają wiele kwestyj ważnych i żywotnych.

Dalej słowo uznania należy się Towarzystwu Ogrodniczemu, które nie tylko rozkwita pięknie z każdym rokiem, ale pięknymi owocami pochłubić się już może.

Niedawno *Ogródnik polski*, organ rzeczowego Towarzystwa, obchodził swoje pierwsze dziesięciolecie i w dziejach swego powstania, istnienia i rozwoju wykazał, jaki zbawienny wpływ może mieć energiczna inicjatywa, umiejętność dobierania środków do osiągnięcia zamierzonego celu i sprężysta wytrwałość; przed dziesięciu laty małutkie grono inteligentnych specjalistów rozpoczęło agitacją w kierunku podniesienia u nas ogrodnictwa, sadownictwa, hodowli nasion i t. p. pp. Jankowski Edmund, Szanior, bracia Kaczyńscy zasiewali to pierwsze ziarno, chociaż na grunt dosyć jałowy i nie bardzo przygotowany, ale czynili to z wiarą, że praca ich dla dobra ogółu nie zmarnieje; — i nie zmarniała.

Ileż to jednak dobrego plonu zdołano zebrać w ciągu tych ubiegłych lat dziesięciu, ale ileż potrzeba było energii, wytrwałości, sztuki w wyhodowaniu tego pierwszego posiewu! Towarzystwo ogrodnicze lat kilka dopiero funkcjonuje, jednak zdobywa sobie coraz więcej popularności, coraz więcej zwolenników, lista jego członków wzrasta a kassa wypełnia i każdoroczny bilans zamyka się przewyżką, skutkiem której majątek instytucji tej wynosi dwadzieścia kilka tysięcy rubli, oprócz zapisu s. p. Józefa Spornego, jako fundacyi na założenie ogrodu w Warszawie.

Posiedzenia Towarzystwa Ogrodniczego są zawsze zajmujące i pouczające, można na nich nie tylko czas miło i pożytecznie spędzić, ale jeszcze przy każdorazowym rozlosowaniu roślin zyskać ładną ozdobę dla swego mieszkania.

Obecnie działalność Towarzystwa rozszerzy się nazewnątrż, bo z inicjatywy dr. Markiewicza powstał osobny komitet opieki nad plantacjami i skwerami miejskimi pod przewodnictwem prof. Jurkiewicza. Jest nadzieja, że się zazielenią

pięknie i zadrzewią oazy świeżości na naszym bruku i że przybędzie miastu niejedna jeszcze w tym rodzaju ozdoba.

Z dziedziny sztuki — prym obecnie trzymamy w Warszawie malarstwo; na wystawach tłok, a byłoby go jeszcze więcej, gdyby słońce nie miało fizjonomii tak zakatarzonej i oczkowało nieco zalotniej. Konkursowe obrazy w „Salonie“ ściągają zawsze jeszcze wielu ciekawych; niebawem przybędzie tam nowa atrakcyja w dużym plótnie Jana Rosena: „Rewia na Saskim Placu“ za czasów W. ks. Konstantego. Paręset figur pomieścił artysta na tym obrazie, który jest jego największem i najcenniejszem dotychczasowym dziełem.

U p. Krywulta szwedzki, niepospolicie utalentowany i nieszczęśliwy malarz Hellqvist wyprowadził „Husa na stos“; jest to ostatnie dzieło artysty, który obecnie znajduje się w monachijskim zakładzie dla obłąkanych, dotknięty ciężką chorobą umysłową w rozkwicie wieku, talentu i sławy.

W ratuszu wreszcie znajduje się przenośna wystawa obrazów malarzy russkich, obfitująca w dzieła cenniejszej wartości.

Patrzeć jest tedy na co, żeby chociaż było za co kupować.

Quis.

SERCE I GŁOWA.

(Dalszy ciąg.)

Ten wielki pan, który, nie chcąc się rozstać ze starym domem swych przodków, nie chcąc sprzedać handlarzom jego marmurów i drogich pamiątek przeszłości, zamknął się w nim smutny i samotny, jedząc czarny chleb ubóstwa, przedstawia się jako charakter silny, sympatją ludzką budzący. Ale dla czego on do tej smutnej ostateczności doszedł? Mantegazza nie zaniedbuje tej odpowiedzi i wyluszcza, że to było — z dobroci! Ponieważ majątek jego był ogromny, zwracało się do niego mnóstwo ludzi potrzebnych grosza, o pomoc, o wsparcie, a on nie miał serca nikomu odmówić: dawał, wspomagał, lecz swych majątkowych interesów dostatecznie nie znał. Spuszczał się w ich zarządzie na innych i dobry, uczciwy sam, nie podejrzewał nikogo o nadużycie zaufania, aż, nie wiedząc jak i kiedy, starą fortunę rodu swego stracił.

I nawet stała się przytem jedna rzecz niuczciwa. Adwokat, który sprawę likwidacyi długów prowadził, dopuścił się z litości nad nim podejścia. Potrafił tak rzeczy ułożyć, że ów stary pałac z kawałkiem gruntu, na którym stał, poręczał jakoby sumę posagową żony, już nieżyjącej, więc był dziedzictwem syna, i dłużnicy z pretensjami swymi spadli, co było oszustwem i plamą na honorze, na nazwisko bohaterskich, krajowi zasłużonych przodków. Biedny margrabia nie o tem nie wiedział, bo i w prowadzeniu processu na adwokata się zdał, a ten z dobroci niiby, z litości nad nim, tę krzywdę mu wyrządził i Mantegazza wykazuje Henrykowi, że zatem, jak te dwa wypadki wykazują, może być i dobroć — niedobra.

Niedobrą, złą jest dobroć, obok której nie stoi rozsądek i sprawiedliwość. Trzeba wiedzieć, że jest niemało ludzi złych i trzeba, należy różnicę pomiędzy niemi czynić. Ślepe zaufanie staje się niedołęztwem, taksamo, jak i przypuszczanie do siebie każdego, kto się do nas garnie. Kto cnotę, kto uczciwość szanuje, ten się ze splamionym, nieuczciwym nie brata i inaczej postępuje tylko niedołężny lub w głębi serca na te wysokie względy moralności mało-dbały. Taki brak sądu, nietylko, że o naszym własnym charakterze zło świadectwo daje, ale naraża na to, że zetknięcie ze złymi sprowadza na nas różne szkody, za które, jak ów margrabia włoski, ciężko pokutować trzeba, a często nawet tak się staje, że i pokuta cała nie pomoże, bo nie wynagrodzimy nią złego, które się stało z przyczyny naszej.

Amicis w pierwszej powiastce stanowiącej wypracowanie szkolne Henryka, przedstawił, jak dla względów wyższego znaczenia pieniądza, nawet najbardziej nam potrzebny, poświęconym być powinien. Ukazał on chłopca, którego linoskoki z Włoch od rodziców zabrawszy wywieźli ze sobą za granicę, do Francji, do Hiszpanii, gdzie wiódł w służbie u nich najnudniejsze, najnieszczęśliwsze życie: głodzony, bity, męczony. Konsul włoski w Barcelonie dowiedział się o jego losie okrutnym i, zajmując się nim, odesłał do Włoch na parowcu francuzkim, który do Genui płynął. Chłopiec, odarty i bez grosza, miał tylko w kieszeni list polecający go prefektowi Genui i już na statku cierpiał brak niejeden, aż się zmiłowali nad nim podróżni: Francuzi, Hiszpanie, i napół z litości, napół rozochoceni dobрым humorem dali mu dość sutą jałmużnę. Był to jedyny grosz, jaki mógł mieć w chwili wylądowania w Genui. Rzucano mu przeciw sody, jak pieskowi, z którym się bawimy: — Łapaj... Chwytaj! — wołano; on czuł całe upokorzenie takiej jałmużny; niemniej przyciśnięty potrzebą pieniądze przyjął. Uciekł z niemi gdzieś w kąat statku, a podróżni siedli wkrótce do stołu i jedząc, pijąc, rozmawiali o celu swej podróży, o Włoszech, ale w sposób uchylbiający krajowi temu. Skarzyli się na barbarzyństwo i ciemnotę, jaka tam panuje, na brak wygód, porządku i więcej: na chciwość i złą wiarę Włochów. Jeden z podróżnych powiedział, że to naród nieporządnny, drugich chciał dodać do tego coś więcej, lecz słowa, które mu z ust w polowie wyszło, „nie dokończył: — Powiedział tylko: — Zło... lecz zanim stało się z tego: „złodziejski“ nagle z góry: to jest z poza firanek kajuty trzeciej klasy, posypały im się na stół, na głowy, na ramiona pieniądze: miedź i srebro — sody, liry, lecące z brzękiem, a poza tem ukazała się błada twarz biednego chłopca, który zawałał w namiętnym uniesieniu żalu i gniewu: — Nie chcę nic od ludzi, którzy kraj mój znieważają!...

Szlachetnie piękna nauka tej godności osobistej, która nakazuje w pewnych chwilach w pewnych okolicznościach, odtrącić grosz taki nawet, który jest wręcz chlebem dla głodnych ust naszych, jest odzieżą, mającą osłonić nagość ciała. Mantegazza nie przeczy temu — nie przeczy bynajmniej, tylko w książce swojej dodaje coś jeszcze, a to, że potrzeba przeciw pieniądze, posiadane szanować, aby potem nie znaleźć się właśnie w położeniu owego Marchese X, co-to dla ocalenia tych ścian starych, wśród których mieszkali domowe bogi jego rodu, tradycje starych cnót, poświęceń i obowiązków, przekazywanych z pokolenia w pokolenie, musiał ponieść skazę na honorze, splamić imię szlachetnych tych przodków, chociaż właśnie ich ognisko domowe pragnął już jedynie od zagłady obronić.

Ale to nie wszystko jeszcze. Marchese X ma syna, któremu spartańskie wychowanie jego ojca złą wyświadczyło przysługę. Gdyby ten ojciec nie był, jak lew zraniony, cofnął się pod stary dach swego rodu, aby tam umrzeć z bóla i smutny, pierwej, niż wiek sędziwy zwykle śmierć sprowadza; gdyby był powiedział sobie, że niema grzechu bez pokuty i za pokutę swęj nieradności obrał nie fikcyjne, do materialnych pamiątek przeszłości przywiązane uszanowanie przodków, ale czynne zajęcie się podniesieniem rodu swego: syn byłby go reprezentował inaczej i był innym pniem jego dla przyszłości.

Gdyby był, nie oddając się na pastwę uczuwanego żalu i gorzkiej swej żaloby, wśród resztek posiadanej fortuny zbudował sobie z ruin przeszłości dom nowy i żył w nim naturalnym życiem ludzi, którzy nie są mumiimi, uwiniętami w całun z azbestu, ale żywymi, czynnymi członkami społeczeństwa swego, gdyby był, powiedziawszy sobie, że co na ziemię spadło — przepadło, wszelki możliwy grosz z posiadanych jeszcze wartości wyciągnął i nie gardząc nim wyniośle, użył go na obrót pracy wśród nowego życia: pieniądz ten, procentujący się dobrze wśród uczciwych i pracowitych o to zabiegów, byłby przyniósł mu w szczęście i tę zasługę, że syn jego stałby się nowym ogniem w łańcuchu jego rodu i spełniałby należycie swój obowiązek społeczny. Nie materialna tylko strona rzeczy dźwiga na swoich bar-

kach tradycją, i nie godzi się też z rozpaczy nad materyjalną stratą tak ręk załamać, aby pozostały bezczynni. Abnegacja taka, niby bezinteresowna jest pychą. Przekuź starodawne zbroje na lemiesz, oddać stare gniazdo rodowe, które w posiadaniu naszym byłoby tylko kryptą cmentarną, w ręce inne, byle bratnie, byle ucziwe i przenoszące choćby pod dach najniższy lary nasze i penaty; z resztek zużytkowanego tak mienia dorabiać się możliwie nowego dostatku: to rozum, to ucziwa дума, to obowiązek względem przeszłości i przyszłości. Jest to tasama nauka, którą Kraszewski dał w powieściach swoich *Morituri i Resurrecturi*.

Pieniądz jest to siła. Podle, a choćby tylko małodusznie, go nabywać, małodusznie się o niego zaczynać, samolubnie go miłować, jest nikczemną rzeczą; ale dbać o niego trzeba, bo to jest narzędzie do przeprowadzenia naszych planów życia, i w wieku dzisiejszych ekonomicznych stosunków, nie tylko ludzie, ale i ludy całe tak walczą ze sobą na polu finansowym, jak niegdyś na polu wielkich zapasów. Poznańskie strony, czy to nie coś, jak stare Psie Pole? O świętości i drogocie człowiekowi najwyższe: o jego dom rodzinny, o zagon jego puścizny ojcowskiej, walczą się tam — na talary. Mantagezza do powiastki Amicisa o małym bohaterze z Padwy, który okryty łachmanami ciska o ziemię garść pieniędzy, dodaje opowieść o magnackim synu, który, jak duch wśród gruzów świetności dawnej, błaka się schłopiały, zniedołężniały, aż tak zamrze z czasem — ruina wśród ruiny: istota nieszczęśliwa i nieużyteczna, nawet dla tej idei, dla której się poświęca człowiek ów wykolejony.

Wuj Franciszek nie pragnie przecież dla siostrzeńca swego, aby realizm stał się jedyną religią jego życia, aby na nim oparł się w swoich dążeniach do szczęścia i dobra rozumnie, konsekwentnie spełnianego. Są rzeczy, których się za pieniądze nie kupuje, a które trzeba posiadać, aby życie nie było smutnem i z drogich nam piękności ogolconem. Jednego dnia pokazuje też siostrzeńcowi różne swoje skarby: stary fazon ze szkła zielonego, z narysowaną datą i cyfrą, przycisk do papieru z pięciu kawałków kamieni złożony i zbiór lasek, ciętych z drzewa rozmaitych stron świata, w których przebywał młodzińcem i mężem, a ku którym starzec zwraca nieraz wzrok tęskny, aby wywołać sobie przed duszę cienie przeszłości. Pokazuje się, że ten człowiek samotny na starość żyje przez serce wspomnieniami przeszłości i o jej relikwiach mówi siostrzeńcom: — „Czynię, co mogę, aby stawały się dla mnie żywymi, aby mi zastąpiły ludzi, których niema już...”

„Jeść, pić, spać, ubierać się, na przechadzkę wychodzić, są to dla mnie rzeczy potrzebne dla utrzymania zdrowia i exystencji, stanowią też one chleb życia; ale kochać, myśleć, pamiętać — to życia wino!”

— „Dla mnie starego — dodaje — wino jest może potrzebniejszem od chleba, bo utrzymuje w organizmie ciepło potrzebne, aby nie nastąpiła śmierć.”

— „Choć poeta nie jestem i nigdy w życiu nawet jednego sonetu nie napisałem, starałem się zawsze, aby we wszystkich, nawet pomniejszych sprawach życia mego, mieściła się poezja.”

— „Dostępna jest ona wszystkim, którzy choć trochę fantazji posiadają, a ozlaca i ociepla wszystko, czego dotknie.”

(Dalszy ciąg nastąpi).

SŁOWA A CZYNY.

POWIEŚĆ

SEWERA.

(Dalszy ciąg).

— Ani żartuję, ani mówię seryo, żenić się obecnie nie myślę, a pytanie wypadło z toku rozmowy.

Nie przeczuwałem tak nagłej i gwałtownej burzy.

— Mój drogi, podrażniłeś najdelikatniejsze miejsce mego serca, moją nadzieję, ambycją, dumę. Trzydzieści lat pracowałem, dla jednej myśli, dla jednego uczucia: aby z mierności Lytu i stosunków wydobyć się na czoło, na szeroki świat. Ty masz być tą dźwignią, gdy... No, dajmy temu pokój. Uniosłem się, strach i gniew wstrząsnęły mną — przepaszam cię.

— Ależ, ojcze, za co?

— Wzięłem cię za głupca, i to mnie tak silnie wzburzyło. Rębowski to moje przeciwieństwo; dziewczyna musi być sentymentalna, to drugie moje przeciwieństwo... Co ja mówię?! — zawołał, wybuchając powtórnie. — Ty miałbyś marnować całe życie, karierę, przyszłą wielkość naszego rodu, nazwiska... wszystko, wszystko, dla jednej szlachcianki? Ty, co możesz się połączyć z jednym z pierwszych domów w Polsce; ty, do którego hrabianki będą wyciągały ręce; ty, przyszły namiestnik, miałbyś to wszystko marnować?... Nie, nie, i jeszcze raz: nie! Ty, co wart jesteś milion i, jeżeli wyciągniesz rękę, możesz wziąć za drugi milion korzyści.

— Boję się, czy czasem miłość ojcowska nie robi ze mnie...

— Niekiedy i ja się tego boję — przerwał ojciec. — Twoja apatya straszy mnie. Lecz pocieszam się tem, że nie jestem sam, że ja jestem przy tobie, że całe stronnictwo będzie cię pchać, że teść twój, bracia twjej przyszej żony, stryjaskowie, ciotki i nareszcie żona twoja, będą pracować razem z tobą i za ciebie. I pewno ty sam, gdy się już rozpocznie walka, gdy ambycya twa zostanie podrażniona, pójdziesz na przebój. Tak powinno być, podług logiki, następstw faktów i praw natury.

— I prawdopodobnie tak będzie, mój ojcze — dodał poważnie Adam.

— Tak musi być, bo inaczej oszalałbym lub strzelił sobie w łeb. — Wyciągnął, wzruszony, rękę, którą syn przycisnął w milczeniu do ust.

— A teraz powiedz mi, Adasiu — zaczął serdecznie, czy istotnie szlachcianka robi na tobie wrażenie?

— Bez kwestyi. Ładna jest, zgrabna w miarę, okrągła, zdrowa. Sentymalizmu ledwo ślady, rozumna i, co ciekawe, oryginalna dziewczyna, niepodobna ani do naszych szlachcianek, ani do naszych dam.

— Oryginalność w kobiecie razi mnie — rzekł pan Jan. — Byle nie była nazbyt banalna... — chciał powiedzieć: „jak twoja matka“, lecz w porę się zatrzymał.

— Idzie tu o granicę — mówił dalej Adam. — Otóż Julcia ma miarę. W tej dziewczynie jest materyal na świetną kobietę. I gdyby to była, jak chce ojciec, księżniczka, lub miała milion...

— Ożeniłbyś się.

— Na prośby i zaklęcia ojca. Bo żebym był o to proszony — zaręczam.

— Szczęście, że nie jest księżniczką i nie ma milionów.

— Raczej nieszczęście — odparł Adam.

— Z powodu? — ojciec zaczął wpatrywać się w twarz syna uważnie.

— Z powodu, że nie potrzebowalibyśmy szukać daleko i długo, że ja na prośby ojca przystałbym odrazu i że obszar naszych majątków powiększyłby się w dwójnasób, w jednym prawie kawale ziemi.

— Tymczasem muszę ci powiedzieć — zaczął pan Jan — że Rębowski, jeżeli nie jest już bankrutem, to przynajmniej stacza się po pochyłej drodze.

— I mnie się tak zdaje. Przeczuwam, że i kobiety o tem wiedzą.

— I ciągną cię.

— Nie, jest tam wiele taktu i godności.

— Należy im również odpłacić taktem, godnością.

— I oświadczyć się — zawołał Adam wesoło.

— Przestać bywać. Kto wie, czy nie oświadczyłby się o Julkę pierwszy lepszy szlachcic, gdyby nie częste twoje wizyty w Rębowie? Trzeba mieć takt — cofnąć się — i tyle godności, aby dziewczyny nie robić starą panną.

Adam się zamyślił.

— Niezawodnie, uwaga ojca jest zupełnie na swoim miejscu, sprawiedliwa i słusna, tem więcej, że zwykle bankructwo leci wyciągniętym klusem.

— Galopem — pochwycił ojciec.

— A szkoda — dodał Adam.

— Że nie mają milionów — spytał pan Jan.

— Lub, że nie umieli mnie pociągnąć i uwięzić. Mógłbym ojcu spleść figlę.

— A co sobie zgotować?...

— Wcale znośne życie — dokończył syn.

— Winszuję ci, mieć na karku papę, mamę, interes.

— Rębów — bym kupił, papa — by marszałkował i sejmikował; matka dobra kobieta, cicha, łagodna.

Pan Jan widocznie był zdenerwowany, chciał żartować, a gniew tryskał mu z oczu. Spoprzegli to Adam.

— Przepraszam — rzekł serdecznie — to tylko chciałem zaznaczyć, że medal ma dwie strony. Kto wie, czy ja nie będę ofiarą własnej i rodziców ambycyi?

Rozrzewniony ojciec stanowczem ustępstwem syna pochylił się i pocałował go w czoło.

— Jestem pewny, że będziesz błogosławił siłę swej woli i charakteru.

— Przyznam się ojcu, jestem słaby dla kobiet, bardzo słaby, może za słaby. To moja wielka wada.

Ojciec nie zrozumiał ogólnej cechy wyznania syna, myślał, że ono specjalnie odnosi się do Julci.

— W zwycięztwie tem poznaję się w tobie. Czuję, że pójdziesz moimi śladami. Wielkość się uśmiecha do ciebie. Niema czego czekać, za parę dni pojedziesz do Radwana.

— Nie byłem tam.

— Jedź z sekretarzem, pod pozorem polowania i zrobienia znajomości. Radwan młody człowiek, sprytny, kolega uniwersytecki. W gawędce namówisz go, aby kandydował w imię zasady i obowiązków dla dobra swej partyi. Niech się przecie raz da poznać, wystąpi z mównicą, powie czego chce, o co mu idzie... Dasz sobie radę, jestem tego pewny. Masz ty rozum, brak ci tylko energii! Próżniak z ciebie trochę.

— Jeszcze gorzej, ojcze — próżniak, jest nadzieja, może się zmienić w pracowitego; ale mnie wszystko to nie zajmuje, nie bawi, a tem mniej rozpala. Jeżelibyś ojciec dziś jeszcze kazał mi wziąć ślub z Julcią i osadził mnie w tamsamem mieszkaniu, jakie zajmuję, na tychsamych prawach, jakie teraz posiadam, zgodziłbym się.

Pan Jan groźnie nasunął brwi.

— Rozpogódź, ojcze, lica, nie umiem i nie chcę walczyć, a tem mniej nie mam żadnej ochnoty zatrząca życia ojcu. Idźmy drogami wytkniętymi przez los, a raczej przez nasze przesady, pojęcia i przyzwyczajenia. Idźmy drogami, na których zdaje się nam, że znajdziemy nasze szczęście.

— Nasze szczęście — powtórzył pan Jan. — Każdy ma swoje szczęście i każdy go na swej drodze szuka. Tyś czasem większy filozof, niż ci się zdaje. A że filozofia budzi we mnie zawsze apetyt, czekam cię w jadalnym pokoju.

— Za dziesięć minut — odparł Adam, zrywając się z łóżka.

— Żal mi Julci — mówił wolno, z długimi przerwami, ubierając się. — Polubiłem obie kobiety, do towarzystwa dziewczyny przyzwyczaiłem się. I głupio mi teraz będzie bez niej, bez Rębowa... Jaki dziewczę to ma pyszny biust, oczy niebieskie i usta na pół odchylone, jak kielich rozwijającej się róży — neące, przyzywające utajoną namiętnością! — I jakby dla ochłodzenia rozpalonej krwi zlewał się zimną wodą i wycierał rącznikami.

— „Zimna woda wyborny środek na sentymental: trzeźwieje. Z mym starym wojnę prowadzić nie oplaci się. Walczyć nie umiem i tak znowu nie jestem śmiertelnie ranny, chociaż bez Rębowa dyabelne będą nudy. Przestać bywać odrazu, raptownie — dziko i śmiesznie. Wpadnę tam raz, drugi i trzeci, a przed samymi wyborami drapnę do Lwowa. Julcia przyspiesza o parę miesięcy moją karierę urzędniczo-dworsko-narodowopatriotyczną, tasama Julcia, która tak serdecznie nie lubi urzędników austriackich. Dziwne:

ona-to mnie wypędz z tego domowego zacisza, z tych burz w szklance wody, ambicyi powiatowych, powiatowych wielkości, powag, partyi. Wypędz mnie dziwną logiką faktów, chociaż sama radaby uciec od towarzystwa Gryzka, powiatowej polityki, marszałkowstwa, na szeroki świat... Julciu, gdyby nie losy, co mnie zrobiły dziedzicem miliona i synem Stańczyka, a ciebie córką zbankrutowanego szlachcica, twój boski biust i rozkosznie odchylone usta—byłyby moje!

„Bankructwo?—wyrzaz, od którego zimno wieje. Trzeba rozgrzać się herbatą i temperamentem swego ojca... Ojczulek ma temperament, i dlatego coś przecie zrobił na świecie. A ja?—ja może potrafię zjeść tatusiową fortunę. Co ja potrafię?—przyszłość pokaże. Może zadziwi świat!“ Rozśmiał się z ostatniego wykrzyknika, zabrał cygarnecką z papierosami i poszedł do ojca.

V.

„Posyłam Wojciecha, aby kochanego pana szybko, a bezpiecznie przywiózł do Rębowa. Czekał niecierpliwie. Do widzenia. Marya.“

— Czekaj niecierpliwie — powtórzył Tadeusz, patrząc na drobne, okrągłe pismo pani marszałkowej. — Ile razy podobną depezę z Rębowa odbieram, zawsze się czegoś boję. Jestem pod wrażeniem, jakgdyby nad tym domem wisiała burza, uragan miał się zerwać, grad spaść, piorun uderzyć... Wychylił się przez otwarte okno kancelaryj rady powiatowej. Wojciech siedział na kole wózka, wpatrując się melancholijnie w dwa rosłe kasztany, zaprzęzione w angielskie szory.

— Wojciech, jak się macie?

— Dziękuję — odparł stary wiarus — trzymam się.

— Cóż tam nowego?

— Nic, chwała Bogu. Pana marszałka niema.

— Za chwilę będę gotów—odpowiedział wesoło sekretarz. Zamknął kasę, biurko, okna, zarzucił na ramiona okrycie i wskoczył do bryczki. Kasztany ruszyły z kopyta, Wojciech pociągnął w górę wazy.

— Wielmożny panie, jeżeli za kwadrans nie będę w Rębowie, nazwie mnie wielmożny pan kpm.

Tadeusz mimowolnie spojrział na zegarek.

— Niemi zawiozę naszą panią do kościoła, ale pan Adam, jeśli ją chce odwiedzić do domu, to musi kupić nowe. Temi, co ma, nie zezwole, bo nie.—Dumny i zadowolony z siebie stary, cmoknął na kasztany, leje popuścił, konie mknęły po równej, miękkiej drodze, jak wiatr. Ciemny dach Rębowskiego Dworu wychylił się zpoza zielonych drzew, jak czarna plama, powiększał się, zbliżał; konie wpadły na drogę otaczającą gazon.

— Niech wielmożny pan popatrzy, jak długo jechaliśmy—odezwał się Wojciech. Tadeusz wyjął zegarek.

— Prawda.

— I z panią muszę lecieć, bo panu Adamowi będzie pilno. — Zaśmiał się stary, osadzając konie na miejscu.

Tadeusz wyskoczył, we drzwiach salonu oczekiwała go marszałkowa.

— Dziękuję panu za pośpiech.

— Podziękowanie należy się raczej Wojciechowi. Kasztany rozpuścił.

— Prosiłam go o to. Niema nikogo, mąż na sądzie polubownym, Julia w mieście. Chciałam korzystać z ich nieobecności i pomówić z drogim panem swobodnie.

— Korzystajmy zatem. Preszę, racz marszałkowa objawić swe życzenia, dać rozkazy.

Marszałkowa siadła na kozetce, wskazując obok siebie miejsce Tadeuszowi.

— Kwestya nadzwyczaj ważna i niesłychanie delikatnej natury. Nie wiem sama, jak ją rozpocząć.

— Czy pani marszałkowa pozwoli mi wyręczyć się i powiedzieć otwarcie?

— Proszę pana.

— Częste wizyty Adama niepokoją panią.

— Odgadłeś pan. Zaczynają mówić w sąsied-

twie, pan Adam może się podobać, Julia jest w tym wieku...

— Niezawodnie—pochwycił Tadeusz—kwestya tę należy rozjaśnić jak najprędzej.

— Cała nasza służba rozprawia o weselu.

— I życzą go sobie — dodał Tadeusz. — Jak przyjmuje te wieści panna Julia, bo pewno i do niej dolatują?

— Milczy, nie wiem czy się nim zajęła, lecz jestem pewna, że niema wstępu. Pan Adam jest świetną partyą; rozumie to ona dobrze, a na stan naszych interesów patrzy zbyt pesymistycznie.

— A więc panna Julia jest świadoma?...

— Sądję, że lepiej od swego ojca, któremu wrodzony optymizm nie pozwala ocenić naszego położenia.

— Nie ulega zatem wątpliwości, że proponycya Adama przyjmie?

— Jestem prawie pewna. Nie mówiłam z nią jeszcze, nie znając zamiarów pana Adama.

— A teraz czekam na ostatnie słowo, ostatni rozkaz pani marszałkowej.

— Proszę. Wybadaj pan młodego człowieka.

— Stanowczo i otwarcie.

— Najlepiej; półśrodki w tym wypadku do czego nie prowadzą.

— I albo niech się oświadczy zaraz, albo....

— Niech przestanie bywać — dokończyła pani Marya.

— Jestem zachwycony tą stanowczością.—Mówiąc to, ucałował rękę marszałkowej.

— Julia jest w tym wieku, a my jeszcze w tej pozycyi, że partyą znaleźć może... Pan mnie rozumie.

— Ależ najzupełniej. Niezwykle bogaty a niezdecydowany konkurent odstrasza młodzież.

— Z pewnością. Iluż-to młodym i pięknym pannom niezdecydowani konkurenci pomarnowali życie!

— A ileż-to matek, które nie miały odwagi pani marszałkowej...

— My zwykle szybko się porozumiewamy—przerwała pani Marya. — Powiedz mi pan otwarcie, szczerze: jakiej się spodziewasz odpowiedzi pana Adama?

— Nie chcę uprzedzać wypadków.

— Proszę, niepewność zwykle więcej męczy.

— Gdyby Adam był charakterem, gdyby ten człowiek miał namiętności, gdyby chciał i umiał walczyć...

— Musiałby walczyć?...

— Niezawodnie. Dla jego ojca nie wystarczają stare rody szlacheckie i średnia fortuna. Ludzie tego rodzaju mają za cel życia dostanie się do najwyższych sfer społecznych; nie cofną się nigdy przed żadną ofiarą, aby dotrzeć. Adam musiałby ciężką walkę stoczyć ze swym ojcem, zannimby pannę Julię zaprowadził do ołtarza.

Pani Marya oparła głowę na rękę i zamysłona milczała. Tadeusz nie śmiał przerywać.

— Matka—szepnęła po chwili—mówią, że go kocha...

(Dalszy ciąg nastąpi)

Korrespondencya zagraniczna.

Kraków w Styczniu 1889 r.

Już czwarty dziesiątek lat upływa, od czasu, gdy miasto nasze, straciwszy swój tytuł świetny „Rzplitej w. m. Krakowa”, a z nim i pozorną niezależność, straciwszy wiele na mieniu i zabytkach po wielkim pożarze, który połowę miasta w gruzy obalił i wyludnił (w Lipcu 1850 r.), powoli dźwigać się zaczęło ku lepszej przyszłości.

Kraków stał się Atenami, w zakresie obecnego naszego umysłowego rozwoju, miastem o rozgłośniej sławie ze swych naukowych insty-

tucyi. W ciągu ubiegłych dwudziestu lat dźwignęła się z upadku i wciąż pracowicie dźwiga się stara Jagiellońska wszechnica; stanęła, pracuje, a rozwija się Akademia Umiejętności; szkoły średnie pomnożone, ludowych zaś liczba wzrasta i roi się tłumami dziatwy, szukającej bodaj maluczkich promyków nauki. Poziom umysłowy całego tła społecznego znacznie a widocznie się podnosi.

Przed dwudziestu paru laty jeszcze miasto stało na rozdrożu kierunków swego rozwoju. Niektórzy mniemali, iż to jeno cmentarzysko i szpital dla emerytów... Wówczas-to, jeśli nas pamięć nie myli, powiedziano o naszym mieście, iż jest matecznikiem z „Pana Tadeusza”, gdzie źwierzęta zmęczone życiem przychodzą składać kości. Przed laty można było poprzestać na tem określeniu Krakowa, i gdy się to wypowiedało, mówiło się tamsamem wszystko. Obecnie stał się on czemś więcej, nie przestawszy być matecznikiem... stał się kolebką życia umysłowego, grędną, którą przyszłość duchową społeczeństwa piastuje. Praca umysłowa na wielu polach postępuje; w starej jagiellońskiej uczelni potroiła się liczba słuchaczy; Akademia Umiejętności pracuje w ciszy, rozwija się, i wielki to warsztat nauki.

Wobec tak wzrastającej pracy na niwie umysłowej dziwnie przykre sprawia wrażenie, jeżeli co nie podnosi się, nie wzrasta i nie rozwija się, ale upada, rozpręga się dla braku sił do dalszego istnienia, dla braku skutecznego poparcia.

Tak przykre wrażenie towarzyszyło naszej ostatniej korespondencyi, którą kreśliłem przed kilku miesiącami. Zaznaczyłem tam, iż byt istniejących przy Muzeum Techniczno-Przemysłowem, wykładów wyższych dla kobiet był zachwany... Wykłady, wytworzone myślą, pracą Dra Adr. Baranieckiego, w r. 1868,—jego pracą, ofiarnością wspierane i do dziś prowadzone—przynosily w ciągu lat dwudziestu niemalą korzyść dla kraju, Jedyny to zakład wyższy dla naszych kobiet. Pewien rodzaj uniwersyteckiego niewieściego chciał zeń iść i ma Dr. Adr. Baraniecki; na stopie tej zdołał się ów zakład, najzupełniej prywatny, utrzymać w ciągu dwudziestu lat. Sumptem prywatnym pojedynczego człowieka, ofiarnością Dra Adr. Baranieckiego, stanął, istniał i do dziś trwa. Środki jego jednak, po paru dziesiątkach lat wysiłków, wyczerpały się. Zdawało się, iż wobec wzmagającej się u nas ofiarności znajdzie się mecenas, który dźwignie na swych barkach część bodaj wydatków niezbędnych dla istnienia wykładów... Wszakże w ciągu długiego szeregu lat napróżno oczekiwano nadejścia takiego mecenasa—nie nadszedł... Natomiast na wiosnę 1888 r. nadeszła była obawa, że te pożyteczne wykłady „jedyne w swym rodzaju, owiane duchem szlachetnym założyciela“ mogą upaść dla braku fundusów.

Stało się jednak lepiej, niż można było przypuszczać. Liczne grona dawnych uczennic pośpieszyły z pomocą. Pani Mieczysława Pawlikowska, mieszkanka naszego miasta, w imieniu dawnych uczennic owego wyższego naukowego zakładu dla kobiet, tak pisała w tej kwestyi, podczas miesięcy letnich kończącego się obecnie roku: „Środki założyciela zakładu wyczerpały się, przez lat dwadzieścia... Teraz do nas, kobiet, a przede wszystkim do nas, uczennic tego zakładu, należy zapewnienie bytu instytucyi, tak poparciem moralnym, jak i materyalnem. Zaczynajmy więc w Imię Boże, składajmy na co stać kogo, a z rozpoczęciem się nowego kursu, gromadźmy się tłumnie na wykłady. Niech dyrektor nasz widzi, że usiłowania jego nie poszły na marne i że ziarno przez niego zasiane bujny plon wyda w przyszłości...” Tak przemawiała jedna z dawnych słuchaczek owych wykładów.

Głos ten nie przebrzmiał... Odbił się echem w myśli i sercu licznych zastępów kobiet, szukających tu dawniej wiedzy; pośpieszyły one z pomocą, i zakład nie przestał ani na chwilę funkcjonować—istnieje, i w d. 7 Listopada, jak zwykle, rozpoczął swój rok szkolny, rozpoczął swe wykłady, zaczynając tamsamem trzeci dziesiątek lat istnienia.

Doraźna pomoc przyczyniła się jedynie do utrzymania zachwanego zakładu; nie zaradziła

wszakże stanowczo potrzebom, nie ustaliła bytu instytucyj. Sam jednak fakt doraźnej pomocy, samo zainteresowanie się byłych uczennic, rozrzuconych na szerokich przestrzeniach, których już czas, okoliczności, praca zawodowa oddaliły od zakładu, wymownie świadczą o potrzebie i korzyściach niezaprzeczonych, jakie te wykłady przynoszą. Nie wątpimy iż ofiarność, która u nas niejedno już dźwignęła, która budzi się teraz coraz-to częściej w piersi społeczeństwa, i coraz-to częściej ku rozumnym celom umie zmierzać, oceni naglącą potrzebę i ustali byt pożytecznej instytucyj. Kwestyą tę uważamy za tak naglącą a ważną, iż nie omieszkamy do niej wracać w następnych naszych korespondencyach.

Pisząc do was przed kilku miesiącami, wspominałem, iż zawiązało się u nas stowarzyszenie mające na celu nieść pomoc naukową kobietom kształcącym się. Stowarzyszenie to, zawiązane pod egidą imienia J. I. Kraszewskiego, jeszcze w r. 1887, dopiero obecnie może rozpocząć swe istnienie, gdyż statuta jego dotąd nie były przez władzę potwierdzone. Zdaje się, że rzeczono stowarzyszenie niewieście pomocy naukowej głównie myśli się opiekować kobietami szukającymi wiedzy na cudzoziemskich uniwersytetach. Obecnie statut potwierdzony i, jeżeli środki pieniężne dopiszą, stowarzyszenie zapewne wejdzie na drogę urczywiścień szych zamiarów.

Mówiąc o dzisiejszych studiach i środkach ich podniesienia, niepodobna zamilczeć, iż nie szczęśliwym hołdów usiłowaniami szerzenia światła, jakie były w przeszłości. Stara szkoła gymnazyalna Św. Anny podczas ubiegłej jesieni w dniach październikowych składała taki hołd przeszłości, święcąc trzeci setletni jubileusz swego istnienia. Starzy i młodzi, dawni i dzisiejsi wychowawcy szkoły łączyli się w jedno grono, by oddać cześć starej szkole i pamięci Bartłomieja Nowodworskiego, który ją w XVII wieku uposażył. Trzy dni trwały uroczystości; mowy wygłoszone w owych dniach zawierały wiele wzniosłych myśli, które zasługują na to, aby je kroniczka szkolna przechowała, dorastające zaś pokolenia corocznie je odczytywały. Do bardziej podniosłych chwil całej trzydniowej uroczystości zaliczyć należy odniesienie wieńca na grób Jana III, który był niegdyś uczniem tej szkoły.

(Dokończenie nastąpi).

Dziennik Zofii Komierowskiej,

spisany w Paryżu w r. 1853.

(Dokończenie.)

Z najwierzniejszym naszym przyjacielem, Zanem, zwidziałam dziś kościół i zakład Inwalidów.

Zbudowana byłam temi wszystkimi szczegółami, jakie obmyślono. Niczego tu nie przypomniało co tylko do zdrowia, wygody a nawet przyjemności potrzebne. To też pamięć Napoleona I jest dla starców tak świętą, że bez łez mówić o nim nie mogą. W środku kościoła znajduje się kaplica z najpiękniejszego różnokolorowego marmuru, jest ona okrągła w stylu korynckim, z filarami dokoła z poziomem niższym od poziomu kościoła a w niej złożone są, jakby relikwie, zwłoki Napoleona I w różowym marmurowym sarkofagu. Wierzch zarzucono wieńcami z nieśmiertelników. Wszyscy inwalidzi, obecnie ze schroniska swego korzystający, odbyli kampanię 1812 roku, pamiętają dobrze trudy doznane, głód, zimno, smak nawet niektórych potraw został im jeszcze w pamięci. O Polsce zachowali dobre wspomnienia. Jeden z nich miał czas się zakochać i dotąd pozostał wiernym swemu ideałowi. Dowiedziawszy się, że jestem z Warszawy, zarzucił mnie pytaniami o przedmiot swoich uczuć; ale, niestety, nie wiedział jej nazwiska, pamiętał tylko, że miała imię Jadwiga. Od niej

nauczył się kilkanastu polskich wyrazów, i te codziennie, jak pacierz, powtarzał i tym sposobem uprzytomniał sobie w gasnącej wyobraźni wyidealizowaną postać ukochanej.

D. 27 Maja. Dziś byliśmy u p. Adamowstwa. Biedny mój mąż tak rozczulony na poetę, że nieukontentowania swego ukryć nie zdoła,—co chwila próbuje jeszcze przekonać go o konieczności ujawnienia zaszłych zmian w stosunku do nauki „mistrza,” lecz poeta niewzruszony, nie chce o niczem słyseć. Ktoś z przybyłych wspominał o wirujących stolach, że coraz więcej zajmują się nimi. Poeta, lubujący się bardzo w rzeczach mistycznych tajemniczych a zaczepiających o ducha, zasiadł przy ciężkim dębowym stole, wzywając całe towarzystwo, aby za jego poszło przykładem. Usiedliśmy wszyscy dokoła, trzymając się za końce palców spoczywających na stole. Było nas osób 14, między nimi, Bohdan Zaleski, Leonard Chodźko, Lenartowicz, Wysocki, Goszczyński, Służalski, Zan, Gierycz, Nabelak, my i domowi. Trzymaliśmy tak ręce przez pół godziny w pośród zupełnej ciszy i uroczystego nastroju; stół jednak nie dawał żadnych szczególnych objawów, stał zupełnie nieruchomy, czem zniecierpliwiony poeta, dał znak do powstania, mówiąc, że raz jeden można było tę próbę odbyć, więcej jednak stanowczo do niej nie wróci.

D. 30 Maja. Biedny mój mąż coraz bardziej nie domaga, jest silnie osłabionym. Wrażenia ostatnich tygodni smutnie na jego zdrowie wpłynęły. Pisałam do doktora Raciborskiego, prosząc, aby go odwiedził.

D. 1 Czerwca. Dziś wyścigi w Chantilly. Z rana przyszedł p. Luđwik aby nas namówić na to widowisko. Opierałam się, jak mogłam, bo i sama od kilku dni niedomagam i biedny mój, tak zdenerwowany i cierpiący, że go to więcej zmęczy, niż ubawi; w końcu jednak musiałam uleść i o g. 4 siedziałam w pięknym i wygodnym powozie, który nas do miejsca dowiózł.

Wszedłszy w arenę i obejrzałam się po tej zebranej elegancznej publiczności, wesołej, szczęśliwej, bawiącej się w takim zapałem i życia bez troski i poważnej myśli, otoczonej takim zbytkiem i przepychem, że to, co dotąd na Bulwarach widziałam, znika zupełnie wobec dzisiejszej wystawy. Wyścigi tegoroczne były owiele świetniejsze od dawniejszych bo zaszczycone obecnością cesarstwa—i części dworu. Miło było ujrzeć znowu tę parę, która tak zawsze wzrok mój podbija. Tualeta cesarzowej była pełna gustu i elegancji, mniej jednak zbyt kówna, niż wielu innych dam, nawet z półświata paryzkiego. Cesarz, jak zwykle, ubrany pocywilnemu, przechadzał się między publicznością, przyglądał się szczegółowo koniom, podziwiał ich kształty i zalety.

Powróciliśmy bardzo zmęczeni. W umyśle swym mam jakąś trwogę, niepokój niewytłomaczony. Czarno patrzę i na najbliższych swoich i na świat cały. Myśląc o wystawności tutejszego życia, doznaję takiego wrażenia, jakby się do tych miejsc zbliżało jakieś wielkie nieszczęście. Strach mnie ogarnia: czy Bóg w sprawiedliwości swojej nie zamieni tego blasku na siarczasty ogień, jak niegdyś uczynił w Sodomie; bo przy tych, gromadzonych i rozrzucanych tu skarbach, obok materyjalnego zbytku panuje zarazem i straszna demoralizacja w obyczajach i brak religii zupełny. Gdzież więc społeczeństwo znajdzie dla siebie oparcie? Oby tylko jaka burza nie zamąciła nagle Francuzom dzisiejszego ich szczęścia!

Wiadomości z Hygieny i Medycyny Popularnej.

HYGIENA WZROKU

według

D-ra Ks. Gałęzowskiego.

(Dalszy ciąg).

W wieku dojrzałym wzrok osiąga szczytu

rodzaju namiętności, oddziaływające na nią mniej lub więcej szkodliwie, dochodzą na pewien czas do swego *maximum*, aby następnie stopniowo, w wieku starszym, się zmniejszać.

Zazwyczaj wszyscy unikają szkodliwości mogących zle oddziaływać na sprawę oddychania, trawienia i t. p., a mało kto zwraca uwagę na oczy.

Co do niezbędnej czystości, to uważamy za zbyteczne obszernie rozwodzić się nad tym przedmiotem, gdy idzie o ludzi w wieku dojrzałym. Powiemy tylko: że lepiej jest przemywać oczy wodą ciepłą przy pomocy gąbki, niż zimną; że dotykanie palcami szczególnie, gdy te są nieczyste oddziaływa ujemnie; że w razie swędzenia w oku, lub dostania się ciała obcego, posługiwać się można małym palcem, który zwykle jest czystszy, albowiem w wykonywaniu pracy i dotykanii przedmiotów znacznie mniejszy przyjmuje udział od innych.

Sen jest niezbędnym wypoczynkiem dla organizmu; po całodziennych pracy fizycznej lub umysłowej występuje się pewne znużenie nerwowe, wymagające pokrzepienia. Pierwsze oznaki owego zmęczenia uczuwamy w oczach, powieki się zwierają, widzenie staje się utrudnionem, źrenice się rozszerzają, a gałka oczna przewraca się do góry i nawewnątrz: wzrok usypia pręcej aniżeli inne zmysły. Co prawda, to funkcya oczu odbywa się bezustannie, nawet wówczas, gdy inne części organizmu znajdują się w spokoju; przy wszystkich czynnościach wzrok odgrywa bądź-to czynną, bądź bierną rolę, i dlatego najbardziej potrzebuje wypoczynku. Zresztą, gdy wzrok zmęczony się przymyka, się instynktownie oczy na jakiś czas, co przynosi już pewną ulgę. Sen zatem jest dla oka, podobnie jak dla mózgu, rzeczą niezbędną, zpod której, bez narazienia wzroku na szwank, wyłamywać się nie można.

Wielka ilość cierpień oczu, zarówno zewnętrznych jak i wewnętrznych, bierze początek skutkiem zbyt częstego czuwania, które stało się dziś prawie powszechnem. Nie będziemy mówić tu o tych jednostkach, które spędzają noce na zabawach i z noży dzień robią, a co staje się przyczyną różnego rodzaju zapaleń gałki ocznej i powiek—gdyż nie obserwują one higieny w ogólności; zastanowimy się raczej nad tymi, którzy zmuszeni są przepędzać noce przy pracy. Ze smutkiem wyznać przychodzi, że niebezpieczeństwo takim ludziom zapracowanym zagraża daleko większe, niż tym, którzy czas spędzają na zabawie; albowiem, prócz działania światła wywołującego zmęczenie oka, doznają jeszcze zmęczenia w akkommodacyi i znużenia umysłowego, oddziaływającego na krążenie krwi we wnętrzu tak delikatnego organu.

Osoby posiadające słaby wzrok powinny unikać wszelkiej pracy przy sztucznym oświetleniu, a posiadające normalny uczynią rozsądnie, unikając pracy nocnej.

Każdy może doskonale ocenić siłę swego wzrostu, aby stosownie do tego unormować swe zajęcia i w stosownej chwili je przerwać, mianowicie, gdy wystąpi pieczenie w oczach, swędzenie, lub ból głowy. Potrzeba większą pracę przerywać na pewien czas, zmieniać odległość przedmiotu, nad którym się pracuje a także pozycyę; odbyć przechadzkę, gdy się przez czas dłuższy siedziało przy pracy, a to w celu unormowania krążenia krwi i temsamem zapobieżenia przekrwieniu oka; unikać raptownego przejścia ze światła do ciemności i odwrotnie z ciemności do światła.

Niezbędnym warunkiem zdrowia oka jest to, aby odbierane wrażenia nie były zbyt silne, lecz umiarkowane,—aby granica fizjologiczna możliwości znoszenia tych wrażeń nie została przekroczona. Podobnie jak zmysł dotykania np. zmniejsza swą czułość skutkiem dotykania rzeczy chropowatych, podobnie i wzrok osłabia się skutkiem częstych i silnych wrażeń optycznych.

Człowiek pod względem bystrości zmysłów stoi niżej od zwierząt. Chcąc ją zwiększyć, należy poddawać organa myślowe ćwiczeniom potęgującym siłę ich funkcyonowania. Odnosi się to także i do wzroku.

Nie podlega wątpliwości, że osoby mieszkające na wsi, skutkiem wpatrywania się w dalekie przestrzenie, posiadają wzrok bystrzejszy, czyli

lepiej uzdolniony do rozpoznawania kształtów i kolorów na dalekiej przestrzeni, aniżeli mieszkańcy miast. Czyż nie jest to nową wskazówką na korzyść metody nauczania na odkrytem powietrzu? Wyprowadzanie częste uczniów z murów szkolnych na świeże powietrze, przebywanie na obszernych płaszczynach i górach, na polach i w lasach oddziałują znakomicie na wzmocnienie wzroku a jednocześnie chroni od nieuniknionych szkodliwych wpływów, jakim polegają w szkole, i zarazem zmniejsza usposobienie do pewnych chorób ogólnych, które za sobą pociągają i cierpienia oczu. Wreszcie wszelkiego rodzaju ćwiczenia fizyczne są wielce korzystne dla osób pracujących umysłowo, wiodących siedzący sposób życia, dla urzędników i pracujących nad drobną, wymagającą wysiłku robotą. Przechadzki na świeżym powietrzu, pociągające za sobą nieuniknione patrzenie w dal, są doskonałym wyczynkiem dla wzroku, zwłaszcza dla aparatu akkomodacyjnego oka.

Wspomnieć jeszcze musimy mimochodem o szkodliwym wpływie, jaki wywierać mogą na wzrok spróchniałe zęby, pieńki: mianowicie mogą one być czasami powodem paraliżu, skurczów mięśniowych, światłowstrętu, drgania bolesnego powiek (*tic*), łzawienia oka i t. p. Wypada przeto nie zaniedbywać higienicznego utrzymania zębów.

Najmniejsze zmiany w stanie normalnym oczu powinny być bezzwłocznie leczone; w przeciwnym bowiem razie narażać się można na chroniczne cierpienia łącznicy, rogówki albo powiek, cierpienia mniej albo więcej zakłócające sprawę widzenia a owele trudniej leczyć się dające niż wypadki ostre.

W początkach choroby ocznej najczęściej udajemy się po poradę do osób postronnych, do aptekarza: „Nie warto dla podobnej bagateli trudzić lekarza.“ Pan aptekarz sprzedaje wodę do oczu, co prawda, nieszkodliwą, np. wodę różaną, która także żadnej korzyści nie przyniesie i choroeba postępuje swoim trybem, nareszcie przechodzi w chroniczną, i dopiero wtedy trzeba się poradzić specjalisty! Kiedy indziej śmielszy aptekarz wydaje, kierując się fantazją, atropinę np., wówczas gdy ta jest najmniej potrzebna lub wprost stać się może szkodliwą.

Byłoby rzeczą wiele pożądaną, aby w tym względzie jaknajściślej rozciągnąć kontrolę.

Między pięćdziesiątym a sześćdziesiątym rokiem rozpoczyna się osłabienie wzroku skutkiem wieku. Wszystkie organa słabną, funkcja ich niedołężnieje a jednocześnie i oczy podlegają temu smutnemu, niestety! nieuniknionemu, przeznaczeniu.

Przedewszystkiem słabnie siła akkomodacyjna, która według Doxdera w sześćdziesiątym roku życia zmniejsza się o $\frac{1}{3}$ a w siedmdziesiątym piątym o $\frac{1}{2}$. Soczewka, jeżeli oko nie jest dotknięte kataraktą, pozostaje przezroczystą, odbywają się w niej jednakże *przemiany usteiczne*, sprawiające, że organ ten przybiera odcień żółtawy, który w późniejszym wieku może takiego nabrać natężenia, iż przezroczystość soczewki stanie się niezupełną—co, rozumie się, oddziaływa w wysokim stopniu niekorzystnie na sprawę widzenia. Zazwyczaj zmiany pojawiają się i w rogówce i również wpływają źle na widzenie.

Najczęściej jednakże u ludzi starych widzimy zmiany w powiekach i drogach łzowych. Skóra u nich potrosze utraci elastyczność, a mięśnie powiek kurczą się nieregularnie; powstają skurcze mięśniowe, powodujące z czasem wywinicie powiek nazewnątrz, albo też ich podwinięcie do wnętrza. Osłabienie dróg łzowych sprowadza bezustanne łzawienie, które tak często widzimy u starców, zwłaszcza przy najlżejszych nawet po-

drażnieniach oka, jak wiatr, dym, silniejsze nieco światło i t. p. Nierzadko bywa światłowstręt spowodowany powyższymi cierpieniami. Młode tkanki znoszą znacznie lepiej wpływ światła, aniżeli takie, które utraciły już odporność na wpływ światła zewnętrznego.

(Dalszy ciąg nastąpi).

LIST Z YOKOHAMA.

(Dokończenie.)

Klimat japoński wywołuje ludzi z domu prawie gwałtem, i odbywamy też częste wycieczki poza miasto, gdzie znajdują się rozrzucone wśród okolicy bardzo ładne herbarciarnie, mogące być miejscem przyjemnego odpoczynku dla spacerowiczów, a które znaczą tu *tosamo*, co w Europie kawiarnie. Jest ich tu chyba tyle, co pod Paryżem, bardzo misternie zbudowanych w stylu rodzimym; lekkie są i eleganckie, nierzadko ze ścianami z bambusu, a tu już, z małym wyjątkiem, panuje wyłącznie obyczaj krajowy i herbatę niewypowiedzianego aromatu podają ci w filiżaneczkach, które w Europie płaciłyby się na wagę złota. Jeden tylko miesiąc jest tu taką porą, która każe ci się zamykać w domu: porą deszczową, padających niemal wciąż od Maja do Czerwca. Wiosna tutejsza bywa chłodna, raczej chłodne są ranki i wieczory; południowe godziny są zato niewypowiedzianie przyjemne, w miarę ciepło, pełne woni i bogatego rozwoju roślinności. Lecz w lecie gorąco zmusza do zamykania się w domu dzień cały, gdzie siedzieć trzeba w zamknięciu przy spuszczonej żaluzji, ale nie ma już potrzeby używania wachlarza: „*pankah*.“ Jesień jest może najpiękniejszą porą roku. Uliście drzew, krzewów i w ogóle roślinność cała przybiera najpyszniejsze barwy i piersi oddychają z rozkoszą powietrzem niezmiernie miłym po upałach letnich. Ruch w mieście ożywia się też i wszystko co żyje, pragnie nagrodzić sobie letnie zamknięcie w domu.

Zima jest tu przecież prawdziwą zimą: przynosi ze sobą śnieg i lód. Witam ja zawsze z wielką przyjemnością, bo budzi mi w duszy wspomnienie stron swoich, a ślizgawkę mam na sadzaweczce ogrodowej wybora i używam jej prawie dwa miesiące; trzeba przecież dodać, że dziać się to może tylko przy pomocy ocieniających osłon, które nie dopuszczają promieni południowego ciepła. Po tym szczególe zrozumiecie co tu za klimat. Słońce nigdy nie opuszcza ziemi tak, aby zima mogła panować wszechwładnie.

Do najpiękniejszych widoków natury liczy się niedaleko od naszego miasta Góra Święta, odległa od miasta na czterdzieści mil angielskich. Wyjawszy w najgorętsze upały letnie jest ona wiecznie pokryta śniegiem i lodem, odbija się też w dziwnie piękny sposób na błękitnym tle nieba, błyszcząc i mieniąc się przepysznymi najżywszymi barwami, jak gdyby cała z brylantów. Często gra tak blaskami odbitych promieni słonecznych wierzchołek tylko, a górę całą odziewa śnieżno-biały płaszcz mgły, i dodać trzeba, że chyba nigdzieindziej widzieć nie można takich, jak tu, efektów światła, o których przybliżonego nawet wyobrażenia mieć nie może ten, kto tu nie był i własnymi oczyma tego nie oglądał.

Bywa nieraz, że, znajdując się wśród otwartej przestrzeni, widzisz wkoło siebie, jak oko doj-

rzeć zdoła, całe niebiosa i wzgórza okoliczne, cały widnokrag, jakgdyby w płomieniach. Góra Święta jest wtedy przejmująco wspaniałą i zdaje ci się, że jest to zapowiedź jakiegoś zstąpienia Boga na ziemię, — objawienia jakie oglądali Prorocy. Łatwo też zrozumieć pobożne i grozy pełne uwielbienie krajowców dla Góry Świętej, która jest dla nich jakoby Synaj—miejscem obliczności iobitnic Pańskich.

Kilka lat temu wyblysnął też z niej krzak ognisty: nastąpił wybuch wulkaniczny, który na kilka mil wokoło zarzucił na okolicę płaszcz żaloby i zniszczenia w postaci deszczu, a raczej spadających z góry chmur gorącego popiołu, gdy potoki lawy płynęły, rozlewając się dołem, jak fale Flegetonu. Wiele osób, sądząc po objawach, zapowiadających podobne kataklizmy, przypuszcza możliwość ponowienia się klęski, lecz są i zdania inne, a to, że niedawny wybuch wulkanu Bandaisau dał inną stronę ujście warom gotującym się w łonie ziemi, której trzęsienia powtarzają się tu przecież coraz i coraz są silniejsze.

Widmo trwogi unosi się też po nad tą okolicą, którą przecież nazywamy sobie z mężem ojczyzną piękności i wdzięku dla przeszlicznego upierzenia ptaków i tysiąca kwiatów, które tu rozkwitają w ilości i jakości niespotykanej chyba nigdzie. Wzgórza otaczające Yokohamę są urocze: zarosłe jodłami, a drogi między niemi spuszczają się łagodnie i malowniczo ku morzu, którego wody mają taki sam słiczny kolor błękitny, jak wody Morza Śródziemnego. A owe kwiaty—owe kwiaty, które Bóg sieje w egrodzie Natury, co ich tu jest i jakie! Lotusy, irysy, kamelia, azalea, westerya, błękitna hydrangea, magnolia, *spirea*, *pyrodina japońska* w kilku odmianach, lilie, konwale, fijołki w trzech kolorach, bo białej i różowej. Jak zaś krajowcy kochają się w tych darach flory swojej, dowodzi to, com już wyżej wspomniała, że układanie bukietów i kwiatowe dekoracje pomieszkań doszły tu niemal do stopnia sztuki. Tego zamilowania kwiatów Europa może zazdrościć Japonii, bo domy, nawet bardzo skromnie urządzone, wyglądają przez to wdzięcznie i wesoło.

Ale wszystko to, co piszę, przedstawia głównie życie w Yokohamie i okolicy. Ponieważ jednak przepędziłam jedno lato w słicznej, zacisznej miejscowości nad jeziorem Biva, dam wam w drugim liście opis, jak mi tam było w pewnej wiejskiej herbarciarni, gdzie miałam na letni pobyt najęte pokoje. Życie wsi różni się o wiele od życia w mieście; zetknięcie z przybyskami europejskimi już tu nie zaznacza się tyle i nie wpływa na zmianę obyczajów. Herbarciarnia moja posiadała przytem tę jeszcze właściwość, że była poprzednio dworem sędziwego, powiedziałabym po naszym „szlachcica“, dożywotniego właściciela miejscowej wsi, spokrewnionego z rodziną pana i dziedzica „*daimio*“, którego feodalny zamek, jeden z rzadkich tu już zabytków przeszłości, wznosi się wspaniale na wysokim wzgórzu, ukazując oczom wysokie białe mury i dach wygięty. Tu już się jest w pełnej Japonii. Zatem — do przyszłego listu...

H.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się Arkusz 11-ty powieści pod tytułem: **Stargane życie**, przez Florentynę Marrayat.

TRĘŚĆ. Felicya z Wasilewskich Boberska przez M. Ilnicką. — Pogawędka. — Serce i głowa przez Maryą Ilnicką. — Słowa a czyny, powieść przez Sewera. — Korespondencja zagraniczna. — Dziennik Zofii Komierowskiej. — Wiadomości z Hygieny i Medycyny Popularnej, (hygieny wzroku) według D-ra Ks. Gałęzowskiego. — List z Yokohama.

Dodatek obejmuje: Arkusz 10-ty powieści pod tytułem: **Stargane życie**, przez Florentynę Marrayat. — Przegląd mód. — 27 wzorów ubiorów i robót z opisem. — **Sekrety gospodarskie**. — **Dyspozycją stołu**.

Warszawa. — W Drukarni i Litografii S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr 66.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою. — Варшава, 25 Января 1889 года.